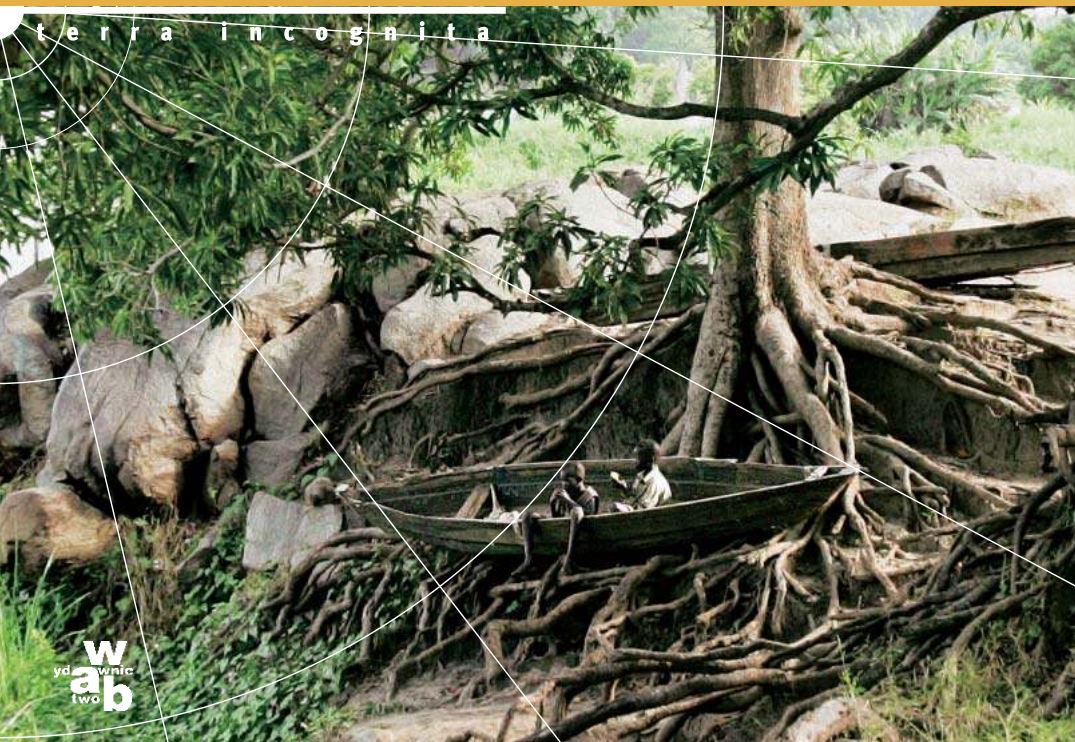


WOJCIECH JAGIELSKI

nocni wędrowcy





WOJCIECH JAGIELSKI

(ur. 1960) – dziennikarz
„Gazety Wyborczej”.

Świadek najważniejszych wydarzeń
politycznych przełomu wieków
na całym świecie. Relacjonował rozpad
rosyjskiego imperium, załamanie się
apartheidu w RPA, połączenie Hongkongu
z Chinami, wojny, zamachy stanu,
upadki dyktatorów w Afryce i Azji.

Autor książek o Kaukazie (**Dobre Miejsce
do Umiórada**, 1994; wydanie
uzupełnione W.A.B. 2005),

o Czeczenii (**Wojna i humanizm**

W.A.B. 2004, wydanie rozszerzone 2008;
międzynarodowa nagroda „Literatura

z frontu” 2007 przyznawana przez miasto
Cassino we Włoszech), o Afganistanie

(**Modlitwa o deszcz**, W.A.B. 2002;
nominowana do Nagrody NIKE 2003,

zdobyła Nagrodę im. ks. Józefa Tischnera,
Nagrodę Czytelników w konkursie

Podporusz 2003 oraz Bursztynowego
Motyla w Konkursie im. Arkadego Fiedlera).

Książki Wojciecha Jagielskiego
są tłumaczone na włoski, hiszpański,
angielski, niderlandzki.

WOJCIECH JAGIELSKI

nocni
wędrowcy

Max Cegielski
Pijani Bogiem
Oko świata. Od Konstantynopola do Stambułu

Barbara Ehrenreich
Za grosze. Pracować i (nie) przeżyć

Adam Elbanowski
Nowe Królestwo Grenady

Marc Fernandez, Jean-Christophe Rampal
Miasto – morderca kobiet

Peter Godwin
Gdzie krokodyl zjada słońce

Tony Horwitz
Błękitne przestrzenie

Wojciech Jagielski
Dobre miejsce do umierania
Modlitwa o deszcz
Wieże z kamienia

Tobias Jones
Sny o Utopii. Podróże w poszukiwaniu dobrego życia

Krystyna Kurczab-Redlich
Głową o mur Kremla



t e r r a i n c o g n i t a

Murat Kurnaz
Guantanamo. Pięć lat z mojego życia

Juliette Morillot, Dorian Malovic
Uchodźcy z Korei Północnej

Cees Nooteboom
Drogi do Santiago

Walerij Paniuszkin, Michaił Zygar
Gazprom. Rosyjska broń

Åsne Seierstad
Księgarz z Kabulu

Kamila Stawińska
Nowy Jork. Przewodnik niepraktyczny

Fabienne Verdier
Pasażerka ciszy

Marcin Wojciechowski
Pomarańczowy majdan

Xue Xinran
Dobre kobiety z Chin

WOJCIECH JAGIELSKI

nocni wędrowcy



Wydawnictwo
ab
two

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Wydanie I
Warszawa 2009

Rodzicom

Jest to opowieść prawdziwa, podobnie jak prawdziwe jest miasteczko Gulu, w którym się ona rozgrywa. Prawdziwi są też bohaterowie opowieści: opętani przez duchy Joseph Kony, stary Severino, Kenneth Banya, król Aczolich, ich wodzowie, księża, żołnierze, a także dzieci, z których nocami duchy czynią okrutnych i bezlitosnych partyzantów.

Nora, Samuel i Jackson na potrzeby tej opowieści stworzeni zostali z kilku rzeczywistych postaci.

I





W Gulu kończył się dzień.

Miasteczko pospiesznie zbierało się do snu, jak zwykle w porze deszczowej, by zdążyć ze wszystkim przed burzą, która dojrzewała na ciemniejącym niebie w spęczniałych, gniewnych chmurach, czekając tylko zmroku, żeby dać upust złości nagromadzonej podczas upalnego dnia.

Rozpalone skwarem miasto opadało z sił, stygło, cichło. Znekani sklepikarze już nawet bez żalu chowali do magazynów towary, których w ciągu dnia nie udało się sprzedać. Usmoleni czeladnicy z warsztatu wulkanizacyjnego, mocując się i przeklinając, wtaczali na zaplecze opony olbrzymie jak koła młyńskie. Wystawione na trotuarze, zawały drogę i zmuszały przechodniów do zwolnienia kroku, zatrzymania się choć na krótką chwilę, wystarczającą, by zakiełkowała pokusa kupna nowych kół do samochodu.

W śródmieściu zamykano urzędy. Zgrzytliwie, z hukiem, jedna po drugiej opadały żaluzje w kramach i warsztatach, ukrytych w głębokim cieniu krużganków niskich kamienic przy głównej ulicy. Właściciele oberż zapuszczali generatory prądu – zewsząd dochodził ich warkot.

Czuć już było nadchodzącą nawałnicę. Zdawało się, że ciężkie krople ciepłego deszczu wiszą w powietrzu i lada chwila spadną na czerwoną zakurzoną ziemię, przemieniając ją w oślizłe krwiste błoto. Niebo grzmiało coraz donośniej, śmieiej i bliżej, a jasne, krótkie kreski błyskawic rozcinały chmury nadciągające nad miasto.

Mieszkańcy miasteczka wymykali się ze śródmieścia, by zdążyć do domów przed burzą i nocą. Podczas burz zazwyczaj wyłączano prąd. Stojące w mieście wojsko też wołało, by ludzie nie kręcili się po zmroku bez potrzeby. Łatwo ich było wziąć za partyzantów, którzy podczas ciemnych, chmurnych nocy pory deszczowej wypuszczali się ze swoich kryjówek w buszu i docierali aż do Gulu.

Jackson czekał na mnie, jak zwykle, w gospodzie „U Franklina” przy głównej ulicy. Siedział nieruchomy, oparty o kamienną kolumnę. Był dziennikarzem z miejscowej rozgłośni radiowej „King FM”. Jej redakcja mieściła się naprzeciwko hotelu „Aczoli Inn”, w którym mieszkałem. Popołudniami, gdy kończył pracę, spotykaliśmy się w tej gospodzie. Ja zamawiałem piwo, a Jackson opowiadał. O wojnach, królach dawnych i dzisiejszych, dobrych i złych, o czarownikach i o duchach, które wtrącały się w życie ludzi i wpływały na ich losy. W soboty zaś i niedziele przychodziliśmy do „Franklina”, żeby w zatłoczonym i zadymionym barze, na wielkim ekranie zawieszonym pod sufitem telewizora, oglądać mecze piłkarskiej ligi z Wielkiej Brytanii.

Jackson nie poruszył się nawet wówczas, gdy podszedłem do stolika. Wydawał się zmęczony i najwyraźniej nie miał ochoty na rozmowę.

Burza krążyła już nad miastem, wyczekując odpowiedniego miejsca i czasu, by się na nie rzucić, ogłuszyć błyskawicami, grzmotami i strugami deszczu. Miasto zamarło, jakby bało się, że zaprzątnięte zwyczajną krzątaniną przegapi pierwsze uderzenie nawałnicy. Przytłoczone swoim ciężarem niebo opadało coraz niżej, jakby chciało dotknąć ziemi.

Wtem wiatr, który szarpał widoczne za miastem palmy, dmuchnął piachem wzdłuż głównej ulicy. Nagle ożywione, zawirowały w tańcu nad popękanym asfaltem strzępy starych gazet, kawałki kolorowej folii, pożółkłe trawy.

Jackson trwał w bezruchu jak drapieżne zwierzę wstrzymujące oddech.

– Widziałeś? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Przecież przeleciał prawie nad twoją głową – powiedział z pretensją w głosie.

– Kto?

Pierwsze krople spadły, rozpryskując się głośno na dachach i ziemi.

Potem do miasta zaczęły się schodzić dzieci.

Pojawiły się nagle, prawie niepostrzeżenie. Wylaniały się z ciemności, spod ziemi jak zjawy. Zmierzały pieszo, dzieśiatkami, ze wszystkich stron, do niemal wymarłego, pogrążonego w przedburzowej ciszy miasta. Szły pewnie, bez pośpiechu, jak ktoś powtarzający po raz tysięczny czynność doskonale mu znaną i niekryjącą już żadnej tajemnicy.

Niektóre ubrane były w szkolne mundurki, na plecach niosły tornistry z książkami i zeszytami. Inne, w łachmanach i boso, dźwigały w rękach koce, jakieś toboły i zawiniątka, a także zebrane w przydrożnych rowach czy też rynsztokach płachty gazet i kawałki kartonu. Starsze dzieci prowadziły za ręce mniejsze, kilkuletnie, a dziewczęta, niby wieśniaczki udające się do pracy w polu, wędrowały z przytroczonymi do pleców niemowlętami.

Na rynku szara, szemrząca cicho w mroku rzeka dzieci rozdzieliła się na kilka mniejszych. Największa z odnóg skręciła w kierunku dworca autobusowego, mniejsza kończyła bieg na dziedzińcu wielkiego, zbudowanego z czerwonej cegły kościoła pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny. Inne toczyły się ku podwórzom miejscowych szkół, szpitali. Reszta dzieci kończyła marsz na głównej ulicy, w podcieniach domów, gdzie rozkładały na ziemi legowiska.

Większość szukała miejsca na spoczynek i kładła się do snu jeszcze przed nocą, która czyniła miasto niewidzialnym. Ale niektórzy chłopcy, ulegając pokusie niczym nieograniczonej swobody, długo jeszcze biegali z wrzaskiem, zaczepiali dziewczęta i bawili się w wymarłym mieście, którego władcami stawali się, gdy zapadał mrok.

Ulica, już niemal niewidoczna w gęstniejących ciemnościach, znów rozbrzmiewała gwarem. Głosy krążyły, to się zbliżały, to oddalały. Przed sklepem żelaznym naprzeciwko ktoś zapłakał. W pustym barze „U Franklina” cicho grał telewizor, przez otwarte okno w kuchni słuchać było, jak oberżysta popędza pomywaczy, którzy po całym dniu pracy nie potrafili już zdobyć się na pośpiech.

Ze smolistego mroku ulicy tuż przy naszym stoliku wyłoniły się dziewczynki. Jak ćmy, skuszone żółtawymi smugami resztek światła z baru, w milczeniu zabrały się do rozkładania nocnych legowisk na trotuarze, którego część zagarnęła dla siebie oberża „U Franklina”. Nie zwracając uwagi na ostatnich spóźnionych klientów, rozścielały na ziemi kartony i koce, układały się do snu.

Na ich widok Jackson rozejrzał się nieprzytomnie, jak człowiek, który stracił poczucie czasu i okropnie się zasiedział. Odstawił butelkę z niedopitym piwem i głową dał znak do wyjścia. Nie czekając nawet, aż ureguluję rachunek, wstał od stolika i zniknął w ciemnościach. Wychodząc za nim z kręgu światła, potrzebowałem dłuższej chwili, by wyłowić z mroku jego postać.

Szedł szybko środkiem ulicy, wyprostowany, nie patrząc na boki, gdzie w podcieniach dzieci szykowały się do snu. Nie oglądał się na mnie ani nie czekał. Kiedy minął pierwszą przecnicę, jeszcze bardziej przyspieszył. Dopiero wtedy, jakby zwabił je odgłos kroków, z podcieni wyłoniło się kilka drobnych postaci. Ktoś krzyknął nagle wysokim, dzie-

cięcym głosem, ktoś puścił się w krótką, zaraz przerwana pogoń. Jackson zniknął u wylotu ulicy i na trotuarze znów zrobiło się cicho.

Nazajutrz o poranku po dzieciach nie było w mieście ani śladu.

Ziemia znów czerwieniała w słońcu, ale po nocnej ulewie stały na niej jeszcze parujące kałuże. Powietrze po burzy było wciąż rześkie, jasne i przejrzyste, a zieleń liści i traw, obmytych z kurzu, tryskała świeżością, czystością i życiem.

Główna ulica, jak co dzień, pełna była przechodniów i przekupniów, spieszących się, by zdążyć z załatwieniem najważniejszych spraw przed południem, zanim wszystko znów ulegnie upałowi i pogrąży się w otępiałym bezruchu. Aż do wieczora.

Na ulicznym targowisku przy kościele wieśniaczki, które ściągnęły do Gulu o świcie, donośnie zachwalały wystawione na sprzedaż warzywa i owoce. Z pobliskiego placu, zajętego przez firmy przewozowe, wyruszały w drogę autobusy pełne pasażerów i bagaży.

W podcieniach przed oberżą „U Franklina” kelnerzy w zszarzałych ze starości fartuchach ustawiali stoliki. Kubłami wody zlewali betonowy trotuar. Za widocznym z ulicy barem, nad którym, jak zwykle, grał telewizor, pierwsi klienci pili już kawę i palili papierosy.

Jacksona odnalazłem w jego redakcji, gdy przeglądał poranne depesze z Kampali i ze świata. Na pytanie, co słyhać, odparł, że w Bagdadzie doszło znowu do zamachu bombowego i że w ogóle, według niego, sprawy mają się tam coraz gorzej. Za to z Konga, gdzie właśnie wybierano prezydenta i dokąd miałem pojechać z Ugandy, nie było żadnych nowych wieści. Ani złych, o zamieszkach i zbrojnych buntach, ani

pocieszających. Ten brak wiadomości miał, zdaniem Jacksona, dobrze Kongu wróżyć.

Kiedy zapytałem o poprzedni wieczór i o dzieci w mieście, zdawał się nie pojmować, o czym mówię.

– Dłaczego uważasz, że to dziwne? – Wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od ekranu komputera. – Wybierasz się dzisiaj do Atiaku?

Pochodził z tej wioski. Był nastolatkiem, gdy przed dziesięciu laty napadli na nią partyzanci. Przewodził im ulubiony z jego stryjów, Vincent Otti, były oficer ugandyjskiego wojska. Jackson pamiętał, jak wystrojony w paradny mundur przyjeżdżał do wsi, sadzał go sobie na kolanach i pozwalał przymierzać żołnierską czapkę ze sztywnym daszkiem. Kiedy dowodzeni przez Ottiego rebelianci napadli wieś i wymordowali na rynku trzystu pięćdziesięciu mieszkańców, rodzice odesłali Jacksona do krewnych w Gulu, a sami uciekli do jednego z obozów, utworzonych i ochraniających przez rządowe wojsko. Z Atiaku, ze strachu przed zemstą sąsiadów, uciekli też bracia Ottiego.

– Co to były za dzieci, te, które widzieliśmy wieczorem?
– zapytałem ponownie.

– Dzieci jak dzieci – rzucił. – Chcesz, żebym z tobą jechał? Bo jeśli mam jechać, muszę spytać szefa, czy się zgodzi...

– Nie jadę do Atiaku, tylko do Palengi. Wiesz dobrze. Skąd się tu te dzieci wzięły?

– Przyszły do miasta na noc, i tyle. Co w tym dziwnego?

– Napędziły ci stracha.

– Opowiadasz bzdury.

– Dobrze widziałem. Naprawdę wystraszyłeś się dzieci?

– Nie rozumiesz. U nas dzieci są inne.

– Co to znaczy?

– Są inne. Po prostu.

W hotelu „Aczoli Inn”, za trawnikiem, na którym wieczorami rozstawiano stoły do kolacji, był niewielki basen. Niedzielne popołudnia spędzali tam oficerowie z miejscowego garnizonu. Drobnii, o twarzach tak młodzieńczych, że w zsuniętych na oczy czapkach z daszkiem, kolorowych koszulkach i jasnych lnianych spodniach w żaden sposób nie przypominali żołnierzy. Bujając się na chybotałych wysokich zydlach przy barze, popijali piwo, palili papierosy i rozmawiali, z każdą godziną i z każdą kolejną butelką głośniej i głośniej, pochłonięci wyłącznie sobą.

Przytomnieli i cichli tylko wtedy, gdy przy basenie pojawiały się białe kobiety z organizacji dobroczynnych, których w Gulu było pełno. Nieukrywane i pożądlive zaciekawienie, jakie wzbudzały, szybko je jednak krępowało i zazwyczaj, po krótkiej kąpeli i kilku chwilach na słońcu, na niewygodnym leżaku, wycofywały się do hotelowych pokoi.

Siedząc nieopodal, pod drzewem mangowym, czekałem na wezwanie adiutanta pewnego ważnego pułkownika z dowództwa garnizonu. Od jego zgody zależało, czy spotkam się z wziętym do niewoli i przetrzymywanym ponoć w Gulu jednym z partyzanckich przywódców. Obiecując, że mnie z nim zapozna, adiutant doradził z naciskiem, żebym lepiej, bez uzgodnienia tego zawczasu z pułkownikiem, nie ruszał się z Gulu na krok. Choć mówiono, że partyzanci, wymknąwszy się wojsku, wywędrowali aż do Sudanu, nawet stamtąd dokonywali zbrojnych rajdów i okolica wciąż uchodziła za niespokojną. Kazał mi przyjść nad basen pod wieczór.

Ważny pułkownik, któremu miałem zostać przedstawiony, pływał w basenie. Pozostali żołnierze przyglądali się pływającemu dowódcy i odpowiadali na rzucane przez niego z wody pytania, uwagi i żarty.

Pułkownik był postawnym, tęgim mężczyzną o ogolonej czaszce i bardzo ciemnej, niemal czarnej skórze. Długie szare

szorty oblepiały mu masywne pośladki i uda. Pływał od brzegu do brzegu niespiesznie, niemal nie wykonując ruchów, jakby się unosił na wodzie. Od czasu do czasu, głośno prychnając i sapiąc, przewracał się z brzucha na wznak lub z boku na bok, by po chwili wrócić do poprzedniej pozycji.

Znużony oczekiwaniem i szmerem rozmów prowadzonych w niezrozumiałym dla mnie języku, przyglądałem się zwisającym z gałęzi szarym nietoperzom. O zmierzchu budziły się i odrywały od drzewa jak przejrzałe owoce. Zamiast jednak spadać ciężko na ziemię, wzbijały się w powietrze, tnąc je skrzydłami jak sztylety, rozpiętymi nagle do walki. Wirowały nisko, tuż nad ziemią, jakby próbowały coś wypatrzeć w trawie. Mknęły niczym straceńcy upojeni prędkością, gotowi na śmierć albo jej zupełnie nieświadomi.

Spod drzewa dostrzegłem, że adiutant daje mi znak – przywołuje na audiencję. Gdy stanąłem na brzegu basenu, pułkownik jednym mocniejszym machnięciem ręki obrócił się w moim kierunku. Chwilę pokręcił się w miejscu, po czym stanął na ugiętych kolanach, zanurzony po szyję w wodzie.

– A więc jest pan dziennikarzem. I cóż to takiego sprowadza pana w nasze strony? Nic ciekawego się u nas od dawna nie wydarzyło. A może tylko my sami o czymś nie wiemy?

Żołnierze głośno się zaśmiali i nadstawili uszu. Uśmiechnął się nawet adiutant, który stał obok mnie, pociągając piwo z butelki.

– Powiedziano mi, że to od pana dowiem się wszystkiego.

– Ode mnie? Kto tak powiedział? Ja tam nic nie wiem. My, żołnierze, jesteśmy prostymi ludźmi. Baczność, spoczniej, pobudka, capstrzyk.

Podpierając się jedną nogą, pułkownik przewrócił się na plecy.

– Chciałbym się tu trochę pokręcić, dowiedzieć czegoś więcej o waszej wojnie.

– Naszej wojnie? A sądzi pan, że mamy tu jakąś wojnę?

Oficerowie znów wybuchnęli głośnym śmiechem, a ich dowódca, jakby znudzony rozmową, schował się pod wodą i odpłynął wolno na drugą stronę basenu. Tam wynurzył się i zawołał coś chrapliwie do adiutanta. Pozostawiony sam sobie, spojrzałem w niebo. Po wczorajszej burzy noc zapowiadała się parna, nieobiecująca wytchnienia.

Po chwili przy basenie pojawiły się dwie dziewczyny w strojach kąpielowych. Jedna poszła do baru, druga usiadła niedaleko ode mnie i zanurzywszy nogi, przebierała stopami w wodzie.

– Proszę uważać! Mamy tu krokodyle – zawołał z drugiego brzegu pułkownik.

– Zawołam, gdyby się jakiś pojawił – odpowiedziała, nie podnosząc głowy.

– Stawię się na każde skinienie. Lepszego w tych sprawach pani tu nie znajdzie.

Bar zahuczał żołnierskim śmiechem. Pułkownik zanurkował w moją stronę. Nie dopłynął do brzegu, lecz stanął w pobliżu na rozkraczonych nogach.

– Do Kitgum czy Pader nie radziłbym się wyprawiać bez żołnierzy. Zresztą, po co w ogóle włączyć się po próżnicy – mówił do mnie, ale patrzył w kierunku dziewczyny pochłoniętej widokiem swoich stóp w mętnej wodzie. – Ale do Palengi proszę bardzo, droga wolna. To niedaleko od Gulu, za dnia nie powinno być kłopotów. Lepiej jednak nie czekać z powrotem do zmierzchu.

Na chwilę zniknął pod wodą, a gdy się wynurzył, rzucił jeszcze, żebym po drodze uważał na dzieci.

– Jeśli zobaczy pan, że wychodzą z lasu, proszę kazać kierowcy natychmiast zawracać. A gdyby pojawiły się blisko i na odwrót byłoby już za późno, niech jedzie całym pędem naprzód. Pod żadnym pozorem nie wolno się zatrzymać – po-

wiedział, strzepując palcami krople wody z twarzy. – Proszę pamiętać, to dobra rada, prosto z serca. Z dziećmi nie ma żartów.

I choć odniosłem wrażenie, że te ostatnie słowa wypowiedział z całkowitą powagą, żołnierze w barze zanieśli się śmiechem.

Palengę spowijał siwy dym. Wydobywał się wielką, bezkształtną chmurą z wilgotnych strzech i ociężały opadał na ziemię, snując się, błakając między stożkami chat. Domostwa niemal włąziły sobie nawzajem na plecy, ustawione gęsto, jedno przy drugim. Z powodu deszczu kobiety nie mogły gotować na podwórzach, cała wieś niknęła więc w szarych, nieruchawych obłokach dymu z palenisk.

Dusiła się w oparach przyrządzanych potraw oraz zaduchu śmieci i nieczystości. Rozpłataną na dwoje asfaltową drogą z Gulu do Kampali, rozciągała się po obu jej stronach aż po horyzont, z jednej strony wykreślony mroczną w niepokodzie gęstwiną niskich, poskręcanych drzew, z drugiej zlewający się z niebem nad porośniętą wysokimi trawami równiną.

Nigdy nie słyszałem, by któryś z kilkunastu tysięcy mieszkańców nazwał Palengę wioską. W ogóle rzadko i niechętnie o niej mówili, a jeśli już wspominali, używali słowa „obóz”. Mówili „mieszkam w Palendze”, ale nigdy „jestem z Palengi”. Odmawiali nazywania jej wioską, jakby nie chcąc pogodzić się z jej istnieniem. Bali się, że wystarczy wypowiedzieć jej nazwę, a to, co woleli postrzegać jako zjawę, ułudę, stanie się rzeczywiste i nieodwracalne.

Nie byłoby ich tu, tak jak nie byłoby samej Palengi, gdyby nie wojna, która przed ponad dwudziestoma laty przywędrowała na ich ziemię. Nie pierwszy raz wojenne zawieruchy przewalały się przez krainę ludu Aczoli. Tym razem jednak, zamiast – nasyciwszy się nieszczęściem i zniszczeniem – po-

pędzić gdzieś dalej, wojna, jak strudzony wędrownik nieproszony gość, zatrzymała się u Aczolicz na dłużej. Nie opuszczała ich tak długo, że młodzi nie wiedzieli nawet, jak może wyglądać życie bez niej.

Pamiętali to już tylko starsi. I to oni, pytani o rodzinne strony, przywoływali nazwy dawno nieistniejących wiosek. Czynili to z namaszczeniem, jakby wypowiadali czarodziejские zaklęcia, które miały te wioski wskrzesić, cofnąć czas, odwrócić kolej rzeczy. Ich wsie, domy i dawne życie zburzyli żołnierze albo puścili z dymem partyzanci. A w końcu pożarła je zachłanna i zawsze nienasycona dżungla.

Partyzanci zachodzili do wiosek po żywność i rekrutów. Mówili wieśniakom, że są im to winni. Przecież walczyli w ich imieniu i za ich sprawę. Tych, którzy odmawiali, zabijali na rynku. Potem do wsi przychodzili żołnierze. Tylko niektórzy z nich znali mowę Aczolicz. Większość pochodziła z południa kraju, aż znad Jeziora Wiktorii, i z zachodu, znad Jeziora Alberta. Wypytywali chłopów o partyzantów, mówili, że nie muszą się bać zemsty, że ich przed nią obronią.

Wieśniacy, nie wiedząc, co począć ani które zło wybrać, milczeli. Żołnierze wpadali w złość, tłukli ich pięściami po twarzach, uderzeniami karabinowych kolb powalali na ziemię. Wyzywali od zdrajców, wlekli do miast i zamykali w więzieniach.

Aż w końcu wojna wypędziła Aczolicz z ich domów. Udręczeni przez żołnierzy za dnia i przez partyzantów nocą, porzucając swoje chaty, cmentarze i wydarte buszowi polećka, uciekli do miast, których rebelia nie zajęła. Tych, którzy nie zostali, wywozły z wiosek pod przymusem wojska rządowe.

Wojskowi ogłosili, że wobec braku wystarczających sił, by ustrzec Aczolicz przed partyzantami, muszą ich przesiedlić z rozrzuconych po całym kraju wiosek i osadzić w spe-